Nr. 25. Lwów, dnia 1. Września 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwart. **1** zł. **50** ct., mies. **50** ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów.

W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya i Administracja *„Wieczorów zimowych“* **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„Wieczory zimowe“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie:** każdego 1 go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

Tom II.

I.

Zaledwie pan Miliński na kolej spiesząc, przez bramę wyjechał, hrabina, która dnia tego już od ósmej rano spać nie mogła, dowiedziawszy się o tem od służącej, szybko z łóżka wyskoczyła i równie szybko się ubrała. Za chwilę była w pokoju córki. Zastała ją już przy gotowalni. Nie długo trwało, a obie wesołe, uśmiechnięte, weszły do pokoju jadalnego na śniadanie.

Widać było, że im tego dnia wielki ciężar spadł z serca. Szczególnie uradowaną wyglądała sama hrabina. Pani Eleonora zachowywała się spokojnie, a tylko zrobiła się mowniejszą; za to jej matka śmiała się, krzyczała, dzwoniła i sługi w rozmaite strony rozsyłała, każdej mówiąc na odchodnem: Tylko mi się ćmaku prędko wracaj! Jednej dziewczynie kazała zerwać w ogrodzie dwa duże bukiety, które potem miała sama artystycznie ułożyć; drugą pchnęła do siebie na górę, by jej coś takiego przyniosła, czego ta przez godzinę znaleźć nie mogła; służącego posłała do urzędnika gospodarskiego z kategorycznym rozkazem, żeby jeden fornal poszedł zaraz dowiedzieć się od proboszcza, czy nazajutrz będzie msza cicha, czy też spiewana, gdyż w dniu tym przypadało jakieś święto kościelne, a drugi żeby miał konia gotowego, bo pojedzie gdzieś w ważnym interesie, przedtem jednak powinien zgłosić się do niej po instrukcje; kucharzowi dobrze za to głowę zmyła, że źle gotuje, dzieciom kazała być cicho i nie „wrzeszczeć“ co one usłyszawszy, zaraz na dwór się wyniosły, piastunkę zaś, gdy ta z Sabinką we drzwiach się zjawiła, wypędziła krzykiem: Wynoś się! Wynoś się! Dziewczyna przestraszona poszła do dzieci, i dnia tego już się hrabinie więcej na oczy nie pokazała.

W pół godziny, we dworze trzcinieckim, w którym ostatniemi czasy trocha przycichło, znowu jak w garnku zakipiało. Co chwila słychać było krzyki, trzaskanie drzwi, sługi biegały jak opętane z twarzami wystraszonemi, wszyscy byli zajęci tylko osobą pani hrabiny. Ona tymczasem na pół w fotelu leżąc, bawiła się z córką wesołym „komersem“ i pierwszy dopiero raz od przyjazdu do Wielkopolski, czuła się prawdziwie swobodną, nawet szczęśliwą. I nie należy bardzo się jej dziwić. Wszak żyła tak zwykle, najpierw w domu rodziców, gdzie bardzo jedynaczkę wszyscy psuli, potem z dwoma mężami, z których żaden przez „delikatność“ nigdy najmniejszej nie zrobił jej uwagi. Dopiero odkąd zamieszkała w Trzcińcu, w domu zięcia — brutala, miało być inaczej. To też nie raz skarżyła się gorzko, nie tylko przed córką, lecz i przed nim samym, że ona tu jest „niczem, że nikim nie dysponuje i że sługi jej nie słuchają, mimo iż wiekiem i znaczeniem powinna tu być pierwszą osobą.“ Zięć słuchał, cokolwiek uznał za słuszne czynił, ale ponieważ dosłownie nie spełniał jej życzeń, a czasem jeszcze w dodatku słowo

prawdy powiedział, więc był człowiekiem, na którego bez oburzenia nawet patrzeć nie mogła.

Jakże więc musiała czuć się swobodną, szczęśliwą, gdy ten tyran domowy, na dni kilka rządy porzucił, które ona natychmiast w silną dłoń ujęła.

Nie zdawało się, by pani Eleonorze wszystko co matka czyniła, wielką przyjemność sprawiało; przez lat tyle musiała i ona odwyknąć od huku i stuku; zresztą może się także obawiała, by mąż nie gniewał się, gdy mu sługi powiedzą, co się tu pod jego nieobecność działo; ale ponieważ system obłudnej polityki, którą obie delikatnością nazywały, był między niemi z dawien dawna przyjęty, więc też nic nie mówiła i bez najmniejszej opozycji ze swej strony pozwalała matce rządy sprawować.

W samo południe, konny fornal, którego hrabina znowu do Ujścia na zwiady wysłała, wrócił z tamtąd z doniesieniem, że za dwa dni najpóźniej okręt będzie gotów, poczem obadwa hrabiowie przypłyną nim natychmiast do Trzcińca. Fornal dowiedział się o tem od ogrodnika, a ten znów słyszał to na własne uszy od kucharza, który we wszystkie sprawy dworskie był wtajemniczony, ponieważ żył w przyjaźni z Sylwestrem, kamerdynerem starszego hrabiego.

— Przyjadą! przyjadą! — zawołała hrabina klaszcząc w dłonie, jak pensjonarka, gdy do domu na wakacje przyjechawszy, po miesiącu widzi pierwszych gości zajeżdżających. — Przecie raz skończą się nasze nudy, nasza męka! To grzech prawdziwy, że tak blisko siebie mieszkamy, a wcale się nie widujemy. Sama rozmowa z ludźmi tak dystyngowanymi jest najwyższą przyjemnością. Po ojcu zaraz poznać, że to człowiek naszego towarzystwa, pan co się zowie, syn także nadzwyczaj miły... Przypominasz sobie Elunciu, ile to ojciec komplimentów nagadał zaraz przy pierwszem poznaniu? To człowiek nadzwyczaj dystyngowany i *aimable causeur*, w całem znaczeniu tego wyrazu.

Młody hr. Wągrowski, jako znajomy pana Milińskiego, przedstawił raz jego damom swego ojca przed kościołem. Odtąd jeszcze tylko jeden raz się widzieli, także po nabożeństwie. Później nie widywano już hrabiów w kościele, gdyż syn miał być jakiś czas cierpiący, a ojciec gdzieś wyjeżdżał. Hrabina zebrała te szczegóły przez posłańców. Gdy teraz zaczęła rozwodzić się nad uprzejmością starego hrabiego, córka rzekła, jakby z przekąsem:

— On tylko mamą się zajmował.

— Bo przecie tyś z jego synem rozmawiała.

— Ten mało co mówił.

— Nie bój się, Elunciu, rozgada się, rozgada! Niech tylko przyjadą, już ja mu tu z pewnością nie dam milczeć. Zresztą obadwa są bardzo muzykalni, ojciec nawet spiewa, sam mi to mówił, będziemy zatem grali, spiewali, a jak zechcesz to z młodym także czasem potańcujesz. Przecie nie spodziewam się, by twój mąż mógł to za złe uważać.

— Tego nie wiem, bo jak dotąd, tańców jeszcze nigdy nie było.

— Nie weźmie, nie weźmie, a jak by chciał, to mu wtedy grzecznie wyperswadujesz. Chociaż mąż twój jest bardzo niedelikatny, mimo to zrobisz z nim wszystko co zechcesz, byleś moich rad słuchała. Z mężczyznami trzeba umieć postępować. Zresztą on za tobą przepada, bo któżby nie kochał takiego jak ty aniołka... Ale *a propos*, dobrze żem sobie przypomniała... Musimy koniecznie sprowadzić tu fotografa, aby cię odfotografował tam, pod lasem, w tej pozycji, w której cię widziałam w dniu mego przyjazdu. Wyglądałaś wtedy Elunciu prześlicznie! zachwycająco! cudownie! Taka fotografia zrobi na nim wrażenie, bo w głębi duszy on ciebie kocha, uwielbia, przepada za tobą, tylko na zewnątrz zimnym się okazuje, czemu ja się wcale nie dziwię, bo nie każdy ma serce czułe! wrażliwe! wylane!

Hrabina tak była uradowana wiadomością, że już wkrótce będzie w Trzcińcu widziała miłych gości, że do samego objadu jedynie o tem mówiła. Cały ten czas usta nie zamknęły jej się ani na jednę minutę. Zaledwie od stołu wstały, godzina była czwarta z południa, rzekła do służącego:

— Powiedz Michałowi, żeby natychmiast zaprzągł do powozu. Idź, tylko prędko!

— Mama chce gdzie jechać?

— Pojedziemy obie. Przecie nie sposób, żebyś tu siedziała ciągle jak pustelnica. Dama z twemi przymiotami i pełna resursów, powinna o sobie myśleć, aby nie zdziczeć.

— A gdzie mama myśli jechać?

— Gdzie bądź, może w kierunku Komarowa. Niech że choć trocha poznam waszą okolicę. Że nudna, to prawda, ale będzie jeszcze nudniejsza, jeżeli za próg nie wyjdziemy. Jutro wybierzemy się do miasteczka, bo mam kilka pilnych sprawunków.

— Czy i Antosię weźmiemy?

— A tej nam na co?! Osoba jak ona mająca gusta poziome, tylko by się z nami znudziła. Dla niej bachory najstosowniejszem towarzystwem.

— Skoro tak, to zapewne mama także nie zechce, byśmy dzieci wzięły?

— Przeciw Jańci nic bym nie miała, ale jej samej nie możemy wziąć, bo ten bęben nieznośny zaraz by za nią beczał. Z dwojgiem zaś miałybyśmy tylko subjekcją. Już to twój mąż pięknie swego syna prowadzi. Sadza go sobie na kolana, pieści, całuje.

— Wszak Henryk z wszystkiemi dziećmi jednakowo postępuje — pani Eleonora wtrąciła

Rzadko to się u niej zdarzało, żeby tak, jak teraz, duma żony i zamiłowanie prawdy, wzięło w niej górę nad obojętnością samolubnej kobiety.

— Jeżeli dziewczątka psuje — matka odrzekła — to nie ma w tem jeszcze nic tak złego, te bowiem w przyszłem życiu będą ofiarami, ale każdy chłopiec za młodu rozpuszczany, robi się jeszcze gorszym i w końcu zostaje opryszkiem.

Tego musiało być za wiele samej pani Eleonorze, skoro w tem miejscu odchrząknęła i w okno spojrzawszy, zawołała:

— Już zajechał!

W kilka minut siedziały obie w powozie, który szosą toczył się w kierunku Komarowa. Na kolanach hrabiny spoczywała sama tylko *Lalunia*. *Pinio i Finio* zostały w domu, pod dozorem dziewczyny, która miała obowiązek czuwać nad niemi. Gdy do dworskiej bramy w Komarowie dojechały, hrabina kazała stanąć. Na zapytanie córki, co myśli czynić, odrzekła, że chce tu ogród zobaczyć, poczem wysiadła. Pani Eleonora nie ruszyła się z miejsca.

— Jak to, zostajesz? — matka zapytała.

— My tu nie bywamy — córka odrzekła

— Cóż to ma do rzeczy, moja Eluńciu. Wszak pragniemy tylko ogród zobaczyć. Zresztą nie jesteś sama, lecz ze mną.

Gdy mimo to pani Eleonora jakoś nie wysiadała, na pamięć bowiem przyszedł jej mąż, który kto wie, czyby to za dobre uważał, matka rzekła z przekąsem:

— Skoro nie chcesz mi towarzystwa dotrzymać, więc chyba sama pójdę

Zaledwie jednak uszła kilkadziesiąt kroków i znalazła się za pierwszą grupą kasztanów, które tworzyły tu całe aleje, zaczęło głośno wołać: „Eluniu! Eluniu!“ Córka jeszcze się nie ruszyła. Nie długo trwało, a głos, tym razem już taki, że od niego mogły szyby we dworze popękać, zaczął znowu wołać: „Eluniu! Chodź tu, Eluniu!“ Chociaż córka nie przypuszczała, by matce co złego się stało, lękając się jednak, żeby dalszy jej krzyk nie sprowadził do niej wszystkich mieszkańców dworu, rada nie rada wysiadła z powozu. Gdy przed matką stanęła, ta parasolką na najbliższe drzewo wskazując, rzekła:

— Popatrz, moje serce, jakie to śliczne drzewo cierniowe. Dotąd nie widziałam równie pięknego okazu.

Podczas gdy hrabina wołała, w narożnem oknie pierwszego piętra ukazała się ogolona twarz i łysa głowa archeologa, na dole zaś do okna w pokoju jadalnym zbliżyła się sama baronowa.

Matka uradowana, że przynajmniej sztuką córkę do siebie zwabiła, prowadziła ją teraz w głąb ogrodu, wesoło i głośno rozmawiając. Ktokolwiek nawinął jej się po drodze, każdego musiała o coś zapytać. Od sługi, co wodę niosła, chciała się dowiedzieć, czy państwo są w domu; ogrodnika, który jej się z niedowierzaniem przypatrywał, pytała, czy tu można teraz kupić kwiatów, a w jesieni owoców; nakoniec jakiegoś jegomości, mimo iż ten z pewnością nie miał czasu, bo cwałem pędził do kantoru, gwałtem usiłowała na miejscu zatrzymać. To jej się jednak nie udało, niemiec bowiem dalej poleciał i ani raczył na nią spojrzeć.

Gdy większą część ogrodu przeszła, skręciła pod sam dom, pod pretekstem, że chce się przypatrzeć brzoskwiniom i morelom, co w tem miejscu rosły. Potem przeszła na drugą stronę, gdzie jak wiemy było wejście do kuchni. Tu ujrzawszy otwarte okna na dole, zaczęła jeszcze głośnej mówić, co miało ten skutek, że sama baronowa we drzwiach się pojawiła. Hrabina prawdopodobnie tylko tego wyglądała, bo usłyszawszy od córki, że to sama gospodyni domu, niby od niechcenia do niej się zbliżyła i niczem do tego nieośmielona zaczęła rozmowę od stereotypowego w tych stronach: *Gut Morgen*, poczem przerzuciła się zaraz do francuzczyzny.

Hrabina mówiła bardzo słabo po niemiecku, bo jedynie w podróżach swoich nauczyła się nieco tego języka; baronowa zaś mówiła równie słabo po francuzku. Mimo to hrabina wszczęła „komers“ w wyższym stylu i chociaż baronowa we drzwiach ciągle stojąc, do domu jej nie zapraszała, ona bynajmniej nie czuła się tem obrażona i przeszło pół godziny z nią rozmawiała. Cały ten czas pani Eleonora miała usta zamknięte

Nareszcie obie damy rozłączyły się, życząc sobie: *Bon soir, Guten Abend.*

— Wcale przyjemna kobieta, choć trocha prościucha, bo nas nawet do pokoju nie zaprosiła — mówiła matka do córki, gdy do powozu wracały.

— A jabym mamo myślała, że tem lepiej się stało, bo trudno by nam było korzystać z zaproszenia, skoro tam nie bywamy.

— Ja, moja droga, zdania twego nie podzielam. Widać że pod ciężkim żyjesz despotyzmem. Przecie wstąpić do sąsiadów, to nie zbrodnia.. byłybyśmy chwilkę posiedziały, aby wypocząć po dłuższej przechadzce... zresztą ludzie ludzi potrzebują. Już ja muszę do tego doprowadzić, żebyście tu bywali. Baron jest przecie bardzo bogaty, więc mężowi twemu może się przydać, a jak tę niemczychę trochę okrzeszemy, to będzie z niej wcale przyjemna towarzyszka.

Tak rozmawiając, zbliżyły się do powozu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA
WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

Sztywna jak posąg, któremu każą się obracać na podstawie, zaczęła iść ku drzwiom. Margrabina szła za nią, czekając, kiedy padnie zemdlona w jej objęcie.

— Oh! moje dziecię drogie! — wołała żałośnie — czemuś mnie nie chciała usłuchać? Dla czego uparłaś się i zażyłaś tę truciznę?!

— Widzi przecie pani — głucho odszepnęła — żem z tego nie umarła. Nawet nie zemdlałam, jak kiedyś tam. Wszak trzymam się na nogach, idę, oddycham, nawet nie płaczę... Patrz pani!.. uśmiecham się...

Rzeczywiście uśmiechała się tak boleśnie, z takim wyrazem serce rozdzierającym, jakby stała na progu szaleństwa.

Margrabina nie chciała jej puszczać i próbowała zatrzymać koniecznie. Wyrwała się z jej ramion ruchem gwałtownym i pędem strzały wpadła do parku. Po rozpaczy, następywało stopniowo oburzenie Doznawała uczuć nie znanych jej dotąd, zapoznawała się z owym świętym gniewem, któremu świat nie śmie zajrzeć w oczy, i pod którym ziemia zdaje się trząść w posadach Zaledwie jednak znalazła się w jednej z alei, trochę opodal od szaletu margrabiny, nogi się pod nią ugięły, siły wyczerpały, upadła na ławkę najbliższą i przez chwilę wodziła w koło wzrokiem błędnym, który niczemu już nie wierzył. Patrzała na murawę i wątpiła, czy jest naprawdę zielona; podniosła oczy w górę i nie wiedziała właściwie, jakiej barwy jest niebo lazurowe. Nagle nastąpił przewrót w jej umyśle. Powiedziała sobie, iż ta cała historja, nie tylko nieprawdopodobna, ale wprost niemożliwa. Są rzeczy, które stać się nie mogą, albo świat byłby istnem piekłem, domem szalonych, miejscem zepsucia, a Ten, kto go stworzył i który wszystko może, byłby go zniszczył od dawna. Słońce świecące nad głową, wydało się jej mniej jasne, niż bezwstyd dziennikarzy, kłamiących bezczelnie z dnia na dzień i połykających wraz z chlebem swoją hańbę Jak mogła być do tego stopnia obraną z rozumu i uwierzyć czemuś tak bezsensownemu? Czyż to brudne pisemko, nie nosi na czole piętna hańby i najwyższej nikczemności?

Zerwała się, wpadła jak kula do swego pokoiku, rzuciła się na pióro i napisała te słowa: „Nieprawdaż Albercie, że u ciebie nic nie zaszło, któregoś tam wieczora, nic zupełnie? Chciano by wmówić we mnie... Ale ja niczemu nie wierzę. To fałsz wierutny, kłamstwo nikczemne, co? Odpowiedz mi natychmiast. Jeden wiersz wystarczy, dwa było by już za wiele i przebacz mi Wierzę w ciebie mój Albercie całą duszą i kocham cię z całego serca."

Bilecik wrzuciła w tej chwili do skrzynki pocztowej, ale dzień nie chciał się nigdy skończyć Jetta nie mogła wytrzymać dłużej; pod wieczór zrzuciła przed panią Cantarel ciężar z serca, cały ciężar. Ta okazała jej tyle współczucia, na ile się tylko zdobyć mogła:

— Czyż ci nie mówiłam, nie ufaj nikomu? — odrzuciła.

— Pani zatem wierzysz?.. możesz wierzyć?...

— Wierzę, że to wszystko wygląda na spisek wspólnie uknuty. Nie posądzam o niego pana Cantarel, nie jest bowiem zdolny do intryg tak podstępnie i misternie osnutych, zresztą jest nadto zajęty swoim wyborem. Ale margrabina najniezawodniej palce w tem umaczała. Ktoś jej przecież musiał w tem być pomocny. Jest to tajemnica, którą traf może w przyszłości odsłoni.

— Pani mówisz ciągle o innych! Cóż mnie oni mogą obchodzić? O niego mi idzie, jednego jedynego! Ah! czy pani przypuszczasz, iż mógłby być winnym?

— Pisałaś do niego, czekajmy na odpowiedź, a tymczasem staraj się zasnąć, moje dziecię, tej nocy. Nic tak jak sen godzin nie kradnie i czasu nie skraca

Mimo tego życzenia litościwego, Jetta oka tej nocy nie zmrużyła. Słońce wstało; zeszło nawet bardzo wcześnie, bo działo się to w czerwcu. Czy toniemy w łzach bolu, czy w rozkoszy, ono nie zmienia swoich zwyczajów. Pierwszy posłaniec niczego nie przyniósł. Jetta odbyła z nim formalną indagację, dowiadując się najdokładniej o rozkład dzienny i nocny godzin pocztowych, pociągów pospiesznych i towarowych, słowem o całą manipulację z listami Aż do wieczora w myśli szła za posłańcem, rachując niemal każdy krok jego. Niczem nie była zajęta, tylko tym człowiekiem wyjątkowym, spacerującym po gościńcu. W jego torbie szczupłej stosunkowo, mieszczą się nieraz radości niepojęte, rozpacze bezdenne, katastrofy straszliwe, rozgrywają się losy i przeznaczenia. Pod noc listonosz wręczył jej spory pakiet opieczętowany. Skoro mu na niego rewers podpisała, poszła zwolna ku pałacowi, nie śmiejąc otworzyć pakietu, którego ogrom ją przestraszał.

— Boże miłosierny! — szeptała z drzeniem nerwowem, blada i niepewna — gdyby był niewinny, wiersz jeden, jedno słowo byłoby wystarczyło. Cóż tam może się mieścić?

Rozerwała wreszcie kopertę i skamieniała. Nie znalazła ani słówka od Alberta, zadowolnił się odesłaniem jej własnych listów, co do jednego. Żadnego tam nie brakło, nawet ostatniego bileciku, ona ich jednak nie rachowała. Usunęła się na kolana bez głosu, bez tchu, bez pamięci, niemal bez życia.

Gdy pani Cantarel weszła do niej, zastała ją jeszcze przed sofką na kolanach; natura przecież odniosła zwycięstwo, płakała rzewnie, płakała jak Magdalena! Jej łkania przerywały chwile strasznego milczenia, duszy tonącej w bolu nad siły; czasem także odzywała się do kogoś niewidzialnego, mówiąc z uniesieniem:

— I tyś zaręczał, że on ma serce wzniosłe, szlachetne! Wymawiałeś mi, że się nie znam na ludziach... Oto ludzie!...

Po czem na nowo serce i oczy we łzach się rozpływały, a łkania gwałtowne mało jej piersi nie rozsadziły.

Pani Cantarel nie wiedziała co mówić i co na to radzić. Sama nigdy nie płacząc, łez wcale nie rozumiała. Nareszcie wykrzyknęła:

— Tak go więc dotąd kochasz?!

— Ja bym go miała kochać! — Jetta szybko głowę podniosła. — Mogłaż bym kochać człowieka, którym pogardzam?

— Skoro kto płacze, kocha najwidoczniej — rzekła z flegmą pani Cantarel. — W takim razie, moja droga, trzeba mu przebaczyć i zaślubić.

— Nigdy! nigdy! — szepnęła głucho. — Raczej śmierć!

Siedząc w rogu sofy, pani Cantarel wytrzeszczała na nią oczy, szukając nadaremnie słów, aby ukoić tę boleść niepocieszoną. Znajdywała, iż serce panny Maulabret, o wiele więcej skomplikowane, niż serduszko koguta Murzynka Zostawiła ją samotną i rozszlochaną. Gdy wróciła około północy, biedne dziecię już nie płakało. Ze zmęczenia z wysilenia, zasnęło koło sofki. Z głową spartą na ramieniu z włosami na twarz spadającemi, na której były dotąd ślady łez nie oschłych, spała snem gorączkowym drgając co chwila konwulsyjnie i wzdychając ciężko, jak to się zdarza dzieciakom, usypiającym wśród wielkiej kłótni z życiem. Kiedy niekiedy, nie budząc się, przez sen szeptała:

— Ty! ty!.. Oh! to fałsz! To nie byłeś ty!..

Pani Cantarel uszanowała ten biedny sen, który jakkolwiek nie zdrowy, był lepszy niż straszliwe przebudzenie. Na palcach wysunęła się z pokoju.

W tej samej chwili, pani de Moisieux witała syna, który powracał do gołębnika, niczego w drodze nie uroniwszy, ani z rzeczy, ani z ulud, ani z myśli po głowie się snujących, ani z miłości, która przeszła u niego w fiksakcją. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, iż nigdy niczego nie gubił Czasem zapominał na stole w szynku, parę duńskich rękawiczek, ale zawsze wracał po nie, choćby nawet miał się spóźnić na pociąg

Skoro wymienili pierwsze czułości:

— A to małżeństwo? — zapytał.

— Zawiązało się i rozwiązało — odpowiedziała margrabina.

— Tam do kata! — strzepnął palcami z miną rozweseloną — z mamy kobiecina zręczna co się zowie! Czeczotka zatem do nas należy?

— Czeczotka — wzruszyła ramionami niecierpliwie— nie wierzy już w ziemskie zapały. Poślubi Boga.

— A ja?! — krzyknął impetycznie

— Znalazłam ci inną — wtrąciła od niechcenia.

Jakby olśniony światłem z góry, wypowiedział te same słowa, któremi ona przyjęła propozycją pana Mongiron:

— Założmy się, że garbata!

— Nie myślę.. zresztą nic o tem nie wiem — rzekła sucho. tonem nie znoszącym repliki. — Bądź jak bądź jest to partja najświetniejsza i niebawem będziesz jej przedstawionym.

Już miał wybuchnąć: przypomniał sobie jednak w sam czas, jak to jego ojciec umiał wywinąć się dyplomatycznie natrętom. Poszedł po rozum do głowy, spojrzał na matkę badawczo i przenikliwie, z nader niskim ukłonem. Poczem nowy Talleyrand odszedł do swego pokoju, głucho pomrukując:

— No! no! ładnie się spisywano podczas mojej nieobecności! Ejże! czyżby sobie drwili ze mnie? Czy myślą, żem naprawdę taki bałwan, taki osioł, dający się każdemu osiodłać? Kroć sto tysięcy djabłów! Niedoczekanie ich żebym dał się zparować z tą tam jakąś garbatą! Jestem w tej pierwszej po same uszy zakochany! to jest faktem niezbitym i mieć ją muszę! Żeby się wszyscy djabli przeciw mnie spiknęli, mieć ją będę!

Przysiągł na rum z Jamaiki, na najlepszy whiskey irlandzki i wreszcie poszedł do łóżka, trochę znużony podróżą, ale uradowany gienialnym pomysłem i przemową energiczną.

XXI.

Po strasznych burzach w duszy, następywać zwykła cisza morska, która każe nam owych burz żałować. Niby okręt na mieliźnie osiadły, panna Maulabret przez trzy dni z pokoju nie wyszła, nawet nie miała siły dźwignąć się z łóżka. Każdy ruch ból jej sprawiał, leżała z oczami zamkniętemi Nawykły one do nocy i ciemności. Czasem majaczyła w pół śnie gorączkowym i wtedy zdawało się jej, że błądzi samotna po Paryżu, pytając daremnie o drogę przechodniów i że na każdym zakręcie ulicy, uderza się o zaporę nie do przebycia i czyta na deszczułce wypisane ostrzeżenie: — „Ulica zamknięta z przyczyny burzenia domów.“ — Czyż i jej przyszłość, nie była podobną do takiej ulicy zamkniętej i pełnej gruzów?

Pani Cantarel, która teraz spędzała w Jetty pokoju długie godziny, zaczynała obawiać się naprawdę tego stanu; zdziwiła się też nadzwyczajnie, nagłem prawie odzyskaniem sił i zdrowia u rekonwalescentki. Jetta była młodą, była dzielną, a co ją głównie uratowało, to właśnie gwałtowność ciosu, który w nią uderzył. Czyż mogła żałować człowieka, którym obecnie pogardzała? Uwolnił się od wszelkiego udawania i jej oszczędzania, zdawać się mogło, iż mu to sprawiało pewne zadowolenie, odsłonić przed nią całego siebie, zabić w niej miłość, brutalnością swojego postępowania Przerażona i zawstydzona straszną omyłką, mówiła w duchu z drżeniem: — „oto co jest na dnie, w czarze ziemskiej miłości!“

Zrazu serce jej się buntowało; w głębi duszy złorzeczyła nieszczęsnemu przeznaczeniu. Wkrótce jednak zaczęła w tem wszystkiem uznawać rękę wszechwładną, która ją karała W nocach bezsennych zdało się jej, iż widzi przed sobą postać groźną, z mieczem w dłoni płomienistym, i słyszy głos pełen gniewu: — „Tym mieczem przeszyłem twoje serce, które chciało mi się sprzeniewierzyć i wyplenilem w niem chwast rozrastający się i rozpanoszony. Jestem Bogiem prawdziwym, wypędzam zatem z twego serca bóstwo obce, które śmiało zająć moje miejsce. Oh! jak twoja pycha i twoje radości zbladły w obec mojej mściwej prawicy!“ Już nikomu nic za złe nie brała, przebaczała wszystkim, którzy spiskowali, aby ją szczęścia pozbawić. Wszak byli narzędziami tylko w owej dłoni, nieznoszącej sprzeciwienia i która wybiera robotników, gdzie jej się upodoba. Gdy pani Cantarel próbowała ją pocieszyć, słuchała ze smutnym uśmiechem, który zdawał się mówić: — „Ah! pani! niech się dzieje wola Boża!“ — Tak przebaczała całemu światu, prócz samej sobie, a najcięższym wyrzutem sumienia, było wspomnienie o staruszku księdzu, z którego zrobiła mimowoli wspólnika swego grzechu. Wymawiała sobie, że go oszukała; oskarżała się, że nadużyła jego dobrej wiary i wymusiła na nim niejako pobłażanie pół słówkami i spojrzeniami błagalnemi, choć niememi. O cóż bo się w końcu nie oskarżą, owe rzadko się trafiające sumienia, którą lubią proces wytaczać samym sobie!

Żyła zresztą po dawnemu, jakby nic wcale nie zaszło. Pani Cantarel, która ją tymczasem na dobre pokochała choć milcząco, starała się ją rozrywać i na nią złożyła rządy domu całego Trudniła się wszystkiem sumiennie, udając nawet, iż to ją wielce zajmuje, wszyscy jednak nie wyłączając służby, dziwili się zmianie nagłej, która w niej zaszła Była to zupełnie inna osoba W dni kilka policzki jej zapadły, rysy przedłużyły się i zmieniły,

świeżość młodocianą zastąpiła bladość niemal przeźroczysta. Oczy jej, które porobiły bolesne odkrycia, patrząc na to biedne życie, straciły słodycz spojrzenia i ową aksamitną pieszczotliwość, a natomiast świeciły blaskiem ponurym, gorączkowym. Tak samo śladu nie zostało z owej lekkości silfidycznej w chodzie, z owej gracji czarującej w każdym ruchu. Było w niej teraz coś ostrego, surowego, coś imponującego. Nieszczęście zrobiło ją nagle dojrzałą. Wielkie bole są dusz cieplarnią.

Sam p. Cantarel był zdziwiony i nawet tą zmianą w niej zaniepokojony, mimo iż miał tysiące innych trosk dotkliwych i pożerających. Był wyłącznie zajęty swoim wyborem, który nadchodził i swoimi wyborcami Teraz czas spędzał w Paryżu i tylko w niedzielę przyjeżdżał do Combard, osuszyć na świeżem wiejskiem powietrzu, czoło uznojone, obywatela i kandydata.

Czekał jednak i wyglądał sposobnej chwili, aby udzielić pupilce rad zbawiennych i napomnień z okazji przykrej historji, która się jej wydarzyła. Ku wielkiemu swojemu zdziwieniu nie wiedział, z której strony do niej przystąpić, tak mu się wydawała imponującą, tak go trzymała z daleka od siebie. Jak zwykle poradził sobie wykrętem i nie śmiejąc wprost przemówić do niej, podsunął pod oczy Jetty numer „Djabła Jednookiego“, naznaczywszy przezornie ołówkiem czerwonym pewien artykulik. Drgnęła jakby na widok żmyi jadowitej, przeczytała go jednak Dowiedziała się że pan Albert Valport bił się na szpady z redaktorem „Djabła“ w Belgji, że redaktor został ciężko raniony, spodziewają się jednak, iż rana nie okaże się śmiertelną. Po tych słowach lżej odetchnęła, jakby jej ciężar spadł z serca.

— Gdy się jest takim rębaczem i zawadjaką jak pan Valport — wykrzyknął pan Cantarel — łatwiej nadziać dziennikarza na szpadę, jak kurcze na rożen, niż mu stosownie odpowiedzieć.

Ośmielony milczeniem panny Maulabret, odważył się pogłaskać ją po lewym policzku:

— Moje biedne liczko! — potrząsł głową żałośnie— jakie mizerne i zapadnięte. Oh! co to za nicpoń szkaradny z tego Valporta! Czegoż bo można się było spodziewać po takim jegomości, który nie ma żadnych zasad politycznych, po oportuniście, który wykręca się sianem, gdy go się pytają, czy jest szczerym republikaninem. Na szczęście mamy mężów na wybór i byle moja droga czeczotka chciała mnie zawierzyć...

Spiorunowała go wzrokiem tak srogim, że nagle język mu kołkiem stanął i więcej nie powrócił do swoich matrymonialnych propozycyj.

Jetta plan pewien zrobiła i to postanowienie wkrótce dojrzało w jej umyśle. Wspomniała o tem kilku słowami pani Cantarel, która wzruszyła li ramionami i bąknęła: — „Jak chcesz moje dziecię, to jednak dowodzi, iż jesteś jeszcze bardzo młoda i niedoświadczona“. Wypadek nieprzewidziany, zmusił ją do odłożenia na później planu wykonanie. Od dawna narzekał p Cantarel na kłusowników, wykradających mu z parku zwierzynę Odprawił był leśniczego, pomawiając go o niedozór, a nawet o wspólnictwo z kłusownikami Pani de Moisieux postarała się o innego i ten ma się rozumieć, został natychmiast przyjęty. Był to niejaki Golo, korsykanin, żołnierz wysłużony, z oczami czarnemi i przenikliwemi, z wyrazem zbójeckim, o chudej, żółtej jak wosk twarzy, bardzo nieprzyjemny i niesympatyczny, a w dodatku z blizną szeroką i świeżą na jednym z policzków. Musiał ją niedawno oberwać w jakiejś karczemnej bijatyce. Margrabina tak go jednak gorąco poleciła, iż p. Cantarel ani chwili się nie namyślał i przyjął go do służby. Na nieszczęście w dni kilka Golo się rozchorował, a lekarz przywołany oświadczył kategorycznie, zbadawszy pacjenta, iż ten ma ospę. Tak było rzeczywiście.

P. Cantarel był przerażony tym smutnym wypadkiem, złorzeczył prześladującej go fatalności. Mimo iż oświadczył dnia pewnego pompatycznie: — „że gdyby wypędzono ze szpitali mniszki, on by wziął na siebie pielęgnowanie chorych na tyfus i ospę“ — wszelkie zarazy, jak wiemy, przenikały go dreszczem Chciał zrazu posłać Gola do Paryża i miał go tam kazać leczyć wspaniałomyślnie, w głównym szpitalu, na własny koszt. Jetta oparła się temu, z ową energją imponującą, do której go dotąd nie przyzwyczaiła Przedstawiła mu, iż dozorca jest nadto chory, aby go można przewozić, że zresztą choroba nie grozi nikomu zarazą, mieszka bowiem w parku, w pawilonie zupełnie na uboczu

— To prawda — potrząsł głową — ale któż go będzie doglądał?

— Są jeszcze na świecie — odrzuciła z odrobiną ironji — Szarytki, Augustynki.

— Nie zniósł bym nigdy — przemówił niemal uroczyście — ażeby po moim gruncie miała stąpać mniszka w kornecie i straszyć ludzi czarnym habitem!

— Oto jedna która ofiaruje swoje usługi — wskazała na siebie. — Jej można udzielić pozwolenia, dotąd bowiem habitu nie nosiła.

— Jakto! ty byś się tego podjęła?!... Ależ pomyśl, iż przyniosła byś nam zarazę! Ja, moja panno, odpowiadam za zdrowie całego domu, twojej ciotki, służby zresztą... o mnie tu najmniej idzie. byłbym gotów do wszystkiego, gdyby nie moja kandydatura.. Jako kandydat, nie mogę się zbyt narażać.

Nadto miał względów dla ludu wszechwładnego, aby miał pozwolić na zeszpecenie ospą oblicza jednego z jego przyszłych reprezentantów.

— O jednem musisz naprzód wiedzieć Jetto — dodał. — Gdy raz próg przestąpisz pawilonu, w którym leży ten biedak, nie wyjdziesz z tamtąd, póki chory nie umrze lub całkiem nie wyzdrowieje.

— Rzecz naturalna! — odrzuciła bez namysłu

W pół godziny później już siedziała przy łóżku chorego. Pawilon składał się z dwóch ubikacyj. W pokoju leżał chory, obok, w małej kuchence, kazała dla siebie postawić łóżko żelazne. Noc pierwsza wydała się jej nader błogą. Zdawało się jej iż już się na nowo zamknęła w murach klasztornych i to więzienie kilko-tygodniowe, któremu poddała się dobrowolnie, było dla niej iście błogosławieństwem niebios.

Chory, który zrazu rzucał się jak opętany, kłócił się w majaczeniu gorączkowem z całym światem, a najgorzej wygadywał na swego chlebodawcę za to że śmiał mu wymawiać ubóstwienie Napoleona I., zwalczony cierpieniem, stał się cokolwiek łagodniejszym i łatwiejszym do pielęgnowania. Nie miał już siły do krzyków i złorzeczeń; z głową spuchniętą, z twarzą straszliwie zeszpeconą i obrzmiałą, jęczał i stękał boleśnie, nie puszczając na krok od siebie swojej dozorczyni

Jetta obsługiwała go bez wstrętu, z cierpliwością anielską. Gdy ospa przeszła w stan materyzowania, chory zaczął znowu kłopotać nie lada biedną pannę Maulabret. Wpadał w szał gwałtowny, chciał z łóżka wyskakiwać i w świat szeroki uciekać. Zaledwie zdołała go nazad do łóżka wpakować.

Pewnej nocy, korzystając z drzemki chwilowej swojej strudzonej śmiertelnie dozorczyni, wysunął się z łóżka cichuteńko i już chwytał za klamkę, aby się wymknąć do parku. Ocknęła się ze snu i siłą mocą go przytrzymała.

— Puść mnie! — krzyczał, szamocząc się z nią.

— Gdzie chcesz iść? — zawołała.

— Wiesz dobrze gdzie!

— Zaręczam, że niewiem o niczem.

— On jest tam! — chory wskazał na drzwi od kuchenki, pięść groźnie zaciskając — a ja mu chcę kulę w łeb wpakować.

— O kim mówicie? — Jetta powtórzyła pytanie z łagodnym naciskiem.

— O kim?... O nim, ma się rozumieć!. . o panu Valport.

To nazwisko nagle wymienione, wstrząsnęło nią do głębi. Golo szamotał się wściekle; cierpliwością i energicznym oporem potrafiła go jednak do łóżka napowrót zaprowadzić.

— Byliście u niego leśniczym? — zagadnęła po chwili.

— Eh! to dawne dzieje! — chory machnął ręką. — Gdy wlazł był w nową skórę, przed ośmiu miesiącami, zostałem jego służącym.

— A o cóż macie żal do niego?

— Przeciął mi twarz szpicrózgą!

Zebrała całą odwagę i szła dalej w indagacji.

— Musieliście w czemś zawinić — szepnęła głucho — czemś mu się sprzeniewierzyć.

— To nie ja! — wykrzyknął — to ten z brodawką wszystkiego narobił!

Jakieś wspomnienie przemknęło przez głowę Jetty, niby olśniewająca błyskawica. Wszak ranka pewnego spotkała się u pani de Moisieux, z człowieczkiem milutkim, z pyszczkiem zaszpicowanym jak u lisa, z nosem ozdobionym potężną brodawką. Gdy wchodziła, lis był widocznie zajęty namawianiem margrabiny, do jakiejś szacherki tajemniczej. Bilet wizytowy na stole porzucony, zdradził przed nią jego nazwisko.

— Człowiek z brodawką — wtrąciła. — Czy nie nazywał się on przypadkiem Mongiron?

— Djabeł tam wie, jak się zwał! — Golo odburknął.

Zdało się jej, iż nic intrygi uchwyciła, że wszystko odgaduje.

— Zawiniłeś więcej, niż mówisz — odezwała się surowo — bo ta kobieta...

— Tamta ubrana różowo! — zaśmiał się cynicznie.— Bestyjka śliczna! do zjedzenia!

— Tę kobietę tyś wprowadził, tyś ją ukrył.

Nie odpowiedział ani „tak“ ani „nie“.

— Obiecano ci zapewne wystarać się o inne miejsce, korzystniejsze, jeżeli by cię pan Valport wypędził i prawdopodobnie zapłacono ci za to z góry! Podjąłeś się ładnej frymarki!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

Wyglądał jednocześnie na proroka i męczennika!

— Ah! — szepnął Edward. — Gdybyś wiedział jak jest anielsko dobrym i miłosiernym! Któżby mógł go nie czcić, nie kochać? Ręczę że każdy z tych, nad którymi zawisło jego błogosławieństwo, pójdzie jutro prosto przed odlicze Zbawiciela, czysty i jasny, skoro ojciec Jan go na śmierć przygotuje.

Wrócili obydwaj do swojej izdebki.

Około drugiej po północy zatrąbiono pobudkę. Zrazu nic Francuzom do pochodu nie przeszkadzało Równo z dnia brzaskiem jednak, gdy zbliżali się do Ballynamuck, usłyszano krzyki i wystrzały. Nadjeżdżała garstka ludzi na koniach, w pełnym galopie. Nie byli to Anglicy, bo wołali z daleka: *Erin go bragh*!

Na czele przybywających, Edward i Tankred poznali *Wild - Irish'a.*

Obok niego jechał Unkas Czorwonoskóry. Humbert ku nim podjechał:

— Jenerale! — Jakób wskazał giestem rozpaczliwym na kilkunastu towarzyszy — oto co mi zostało!

— Jakto? . A powstanie w Longfort?..

— Zgniecione! w puch rozbite! Przyszliśmy, aby ginąć z wami razem!

LIV.

Nabój ostatni.

Podano sobie dłonie.

Ponieważ pochód dalszy był bezcelowy, Humbert wydał stosowne do bitwy rozkazy *Wild Irish* zbliżył się do Edwarda. Dwaj bracia uścisnęli się serdecznie.

— Będę walczył na czele naszych Irlandczyków — rzekł Jakób — tam moje miejsce.

— I moje również — odrzucił Edward z silnem postanowieniem.

— Nie! — pierwszy energicznie zaprotestował — jesteś margrabią Grandlieu. Ten tytuł może cię jeszcze wyratować.

— Ależ najniezawodniej! — wmięszał się Tankred do rozmowy.

— Edwardzie! — błagał Jakób. — Pomyśl o tych wszystkich, którzy cię kochają i zostań z hrabią, przy boku jenerała. Jako brat starszy, żądam tego! — A wyciągając z za pasa pistolet: — Przysięgam, że jeżeli mnie nie usłuchasz, natychmiast sam sobie czaszkę kulą roztrzaskam!

Taka determinacja była w oczach Jakóba, iż Edward musiał ustąpić.

— Czy tu, czy tam, spełnię powinność! — odwrócił się gniewny.

Jakób lżej odetchnął:

— Kto wie — głową potrząsł — czy i ja sam tych wszystkich nieszczęść nie przeżyję?... Nie przezwaliż mnie „Nietkniętym!“

Unkas potwierdził te słowa, głośnem i radośnem ry-

hotaniem. Bracia rzucili się jeden drugiemu powtórnie w ramiona. Edward rzekł uroczyście:

— Jeżeli ty mnie przeżyjesz Jakóbie, pamiętaj coś w Kildar obiecywał lady Fitz-Gerald!..

— Gdyby stało się przeciwnie — Jakób odpowiedział — pamiętaj bracie, że i mnie szlachetna kobieta ukochała... Uważaj Kornelję jak siostrę!...

Wild-Irish oddalił się z Unkasem i z resztą towarzyszy ku oddziałom wolontarjuszów irlandzkich.

Ze wschodem słońca, odezwały się trąbki francuzkie tonem dźwięcznym, metalicznym, niby krzyk koguci. Łączył się z niemi odgłos więcej przygłuszony bębnów. Na wszystkich wzgórzach okolicznych, las najeżony armji angielskiej, wieniec armat i bagnetów. Trzydzieści tysięcy wojska linjowego! Siedmiuset Francuzów, czekało na nich śmiało jak stoicy.

Gdy kartacz zrobił w ich szeregach wyłom krwawy, ścisnęli się więcej i na tem koniec.

Ich zachowanie się, męstwo szalone, wprawiło w podziw nawet wroga samego. Lord Corwallis, wiedziony uczuciem rycerskiej wspaniałomyślności, chciał bądź co bądź uratować tę falangę bohaterów.

Kazał zamilknąć armatom, wysłał masę kawalerji, która oskrzydlała ze wszystkich stron francuzkie, jak mur niewzruszone bataljony, wołając:

— Poddajcie się!.. Poddajcie się!... Złożyć broń!..

Tę samą odpowiedź, która miała później unieśmiertelnić Cambronne'a: „Stara gwardja umiera, ale się nie poddaje!“ dał już był Humbert pod Ballynamuck. Był w swoim mundurze najparadniejszym, lśniącym od złota i haftów, na jeneralskim kapeluszu chwiały się całe pęki piór strusich. Chciał upaść w obec historji, tak pysznie i teatralnie jak się wzniósł wysoko z nicości. Nigdy dumniej i wspanialej nie wyglądał. Rycerz z czasów Karola Wielkiego. Drugi Roland pod Roncevaux.

Na ten cały tłum kawalerji, rzucał się po kilka razy na czele pięćdziesięciu jezdnych! Gdy liczba ich zmniejszyła się o połowę:

— Z konia! — zakomenderował głosem stentorowym — i walczmy jak prości grenadjerowie!

Podniósł z ziemi bagnet i ładownicę po zabitym i strzelił tak samo celnie, jak kiedy szlify jego były z wełny, a nie złota.

— Nie zapomniało się jeszcze komendy — uśmiechnął się. — „Nabij broń! Cel! Pal!

Trzy armatki francuzkie, zdawały się równie pomnażać cudownie. Umieli niemi szybko manewrować i w lot nabijać Nieprzyjaciel cofał się w rzeczy samej, ze znacznemi nawet stratami. Opanowała była przez chwilę wojsko angielskie nowa panika i Humbert śmiał się już na całe gardło. Któż mógł zaręczyć, że nie powtórzy się klęska z pod Castelbar?

Szeregi francuzkie ścieśniały się coraz więcej; jenerał na czele, górując całą głową po nad resztą wojska i nasi dwaj przyjaciele Tankred i Edward, od jego boku nieodstępni, szli na bagnety jak prości żołnierze. Raz w najstraszliwszem walki zamięszaniu, zdawało się Tankredowi, iż spostrzega chwiejącego się na siodle Reginalda, którego koń przestraszony, ku obozowi angielskiemu unosi. Może to jednak było tylko halucynacją wyobraźni rozgorączkowanej?

Od godziny przeszło wrzał bój rozpaczliwy, bohaterski, gdy dwie armatki francuzkie pękły od zbytniego gorąca. Amunicja była prawie wyczerpaną

Na prawem skrzydle, gdzie walczyli Irlandczycy pod dowództwem Jakóba, który jak zwykle cudów dokazywał, strzelanie dotąd nie ustawało. Mogliż Francuzi uznać się za pokonanych, skoro ich sprzymierzeńcy walczyli jeszcze zawzięcie?

Wódz republikański, wzniosły jak bohater homerowski, porwał w ramiona i przycisnął do piersi sztandar granatami w szmaty poszarpany, przyklęknął na jedno kolano i głosem tubalnym zaintonował ostatnią strofkę „Marsyljanki“. Gdy przyszło do końcówki dwa razy powtarzanej, kto tylko jeszcze z garstki żyjących mógł się na nogach utrzymać, upojony, rozszalały, rzucił się naprzód z wściekłością i jeszcze raz nieprzyjaciel kroku nie mógł dotrzymać i cofał się przed tym huraganem. W walce złamał się bagnet w rękach Humberta. Odtąd używał karabina, jakby maczugi, olbrzym niepokonany, waląc z góry w prawo i lewo. Wszyscy jego towarzysze, walczyli tak samo z męstwem rozpaczliwem. Wał z trupów, zasłonił ich przed salwami artylerji angielskiej i mogli przynajmniej odetchnąć.

— Nabojów! — huknął wódz A gdy rozdano, nie wiele co zostało.

— Nabijać! — zakomenderował. — Brać na cel! Ognia! Niech wiedzą przynajmniej, żeśmy strzelali do naboju ostatniego!

Wreszcie oglądnąwszy się na pole bitwy, gdzie większa połowa jego zuchów leżała pokotem, niby ścięty łan zboża, roztrzaskał karabin, złamał szpadę i z giestem tragicznym tytana pokonanego, z łkaniem głuchem, pierś rozsadzającem, kazał wywiesić białą chorągiew. Przynajmniej nikt mu nie będzie śmiał zarzucić, że za prędko kapitulował!

Sarrazin, chociaż ranny, przyjął na siebie bolesną misję iść do wice-króla, w roli parlamentarza; Tankred miał mu jako tłumacz towarzyszyć. Hrabia nim odszedł, wymógł na Edwardzie słowo honoru, że na niego poczeka i każe opatrzyć rany, na szczęście bardzo lekkie. I hrabia był kilka razy draśnięty, ale na siebie wcale nie zważał

Parlamentarze musieli przechodzić przez całą długość terenu, gdzie się bitwa toczyła. Przedstawił im się widok iście piekielny. Nigdy może tak mała garstka, strat tak wielkich nie sprawiła.

Mimo tego, gdy mijali pułk szkocki, zacni *Highlanders'rzy*, zdejmowali przed nimi czapki, ozdobione pękami piór kogucich, aby uczcić męstwo nieszczęśliwe, ale nie mniej godne uznania.

Czy jednak wódz naczelny przyjmie ich z tą samą względnością? Dumna jego postawa, brwi groźnie ściągnięte, wzrok ponury, wszystko kazało się obawiać, aby nie chciał nadużyć praw zwycięzcy.

Ah! ah! to ty, panie hrabio! — zawołał poznawszy Tankreda. — Pięknie płacisz Anglji, za ofiarowaną ci gościnność! Czy wiesz, że z łaski twoich ziomków, straciłem przeszło pięć tysięcy ludzi! Przed chwilą baron Homspach i jego oficerowie, radzili mi krwawy odwet.

— To cudzoziemcy — Tankred odparł z godnością— my zaś oddajemy się w ręce dzielnym żołnierzom Wielkiej Brytanji, wiedząc, że na ich czele stoi szlachetny lord Cornwallis!

Natychmiast zmienił się wyraz twarzy i całe wzięcie ze strony wice-króla. Nie darmo zręczny dyplomata, uderzył w strunę najdrażliwszą, lorda dumy narodowej i rycerskości osobistej.

— Zresztą — dodał Sarrazin z rezygnacją — jesteśmy zmuszeni przyjąć warunki choćby najtwardsze.

Warunki jednak były jak najłagodniejsze. Francuzi, jako jeńcy wojenni, mieli być uważani i traktowani z wszelką względnością, na jaką ich męstwo bohaterskie zasługiwało. Oficerom szpady zostawiono. Co do Irlandczyków, ci chwilowo musieli zdać się na łaskę i niełaskę. Zrobiono im jednak nadzieję ogólnej amnestji. Po spisaniu aktu kapitulacji, parlamentarze wracali do swoich.

Niedaleko od namiotu wice-króla, lord Roden wyszedł na ich spotkanie.

— Czekałem hrabio na ciebie — rzekł głosem stłumionym. — Chodźmy!..

Młody człowiek zdawał się upadać pod brzemieniem bolu ciężkiego.

Obsypany przez Tankreda pytaniami, odpowiedział jedynie giestem rozpaczliwym i łkaniem spazmatycznem. Łzy głos mu tłumiły.

Trochę w bok od głównego pola bitwy, konie skierowali w wąwóz cichy i osamotniony. Pod drzewem na miękiej murawie leżał Reginald. Dwóch chirurgów rany jego opatrywało. Na piersiach była krew skrzepła; na twarzy bladość śmiertelna. Tankred z konia zeskoczył.

— Więc mnie się nie zdawało! — zawołał przerażony — Reginald ciężko ranny?!... Ale przecie nie bez nadziei wyzdrowienia?!...

Jeden z chirurgów, do którego zwrócił się był Tankred, głową tylko potrząsł ze smutkiem. Usłyszawszy głos przyjaciela, Reginald oczy otworzył. Poznał hrabiego, który klęczał nad nim pochylony. Widząc w jego oczach trwogę najwyższą, uśmiechnął się boleśnie i szepnął:

— Jedźcie czemprędzej!... Roden was przeprowadzi bezpiecznie .. Powiedz Łucji, że ginę... ale brata jej uratuję...

W tych pięknych rysach, w tym wzroku, pełnym dumy szlachetnej, a jednocześnie tak łagodnym, z tego czoła, biła taka jasność, malowało się takie oderwanie zupełne od spraw i nędzy ziemskiej, jakby bliskość śmierci wycisnęła już piętno nieśmiertelności, na tem ciele kruchem i znikomem.

— Nie! nie! — Tankred powtarzał osłupiały. — To być nie może! W dwudziestu pięciu latach! Z nadzieją tak wielkiego szczęścia w przyszłości!...

Konający nie dał mu dokończyć:

— Nie żałuj mnie przyjacielu! Nigdy by mnie nie była tak pokochała, jak ja ją namiętnie kochałem!

Krew mu się ustami rzuciła. Obecni zamilkli. Reginald znowu się uspokoił, a zbierając sił ostatek zastanawiał i rozrzewniał się li nad przyszłością ukochanej:

— Będzie zrazu bardzo smutną — mówił zwolna, głosem coraz słabnącym — a później, uczuje się tak opuszczoną osamotnioną... Tankredzie, jeżeli wrócisz do Irlandji, co jest mojem najszczerszem życzeniem... — tchu mu nie stawało.

— Zresztą — uścisnął lekko dłoń hrabiego — spisałem moją wolę ostatnią... Żegnaj mi przyjacielu!...

Omdlał... Gdy chirurdzy pospieszyli z ratunkiem umierającemu, lord Roden pociągnął za ramię Tankreda i szepnął mu na ucho:

— Spieszmy się! Przysiągłem mu, że będziecie daleko, gdy lord Cornwallis dowie się, że już nie ma syna.

Tankred z rozpaczą w sercu za nim pospieszył. Kilku dragonów konno ich eskortowało Przejeżdżali teraz miejsca, gdzie wrzał bój najzaciętszy Co krok leżały zimne zwłoki kogoś dobrze znajomego. Adjutant Humberta, dzielny Fontaine i wielu innych oficerów, zasnęło na wieki na obcej ziemi.

Edwarda rany były już opatrzone i nie groziły żadnem niebezpieczeństwem.

Pat zjawił się niebawem, wystarawszy się gdzieś o konia i nazad w liberję przebrany.

— *Hillou*! To mój paszport! — szepnął na ucho swojemu panu.

Nic istotnie naturalniejszego, jak że hrabia zabierał z sobą pachołka. Lord Roden o ile się zdawać mogło, nie zwrócił nawet na niego uwagi. Mieli jeszcze tylko pożegnać się z Humbertem. Ten siedział na armacie przez pół rozstrzaskanej, tragiczny, szczytny w bolu i oburzeniu najsłuszniejszem, nie przeciw Anglikom, ale przeciw samemu dyrektorjatowi. Czyż takie o nim zapomnienie, nie było zdradą po prostu? Barras byłby struchlał, gdyby mógł był go widzieć w tej chwili.

Krwią zlany swoją i nieprzyjaciela, z mundurem poszarpanym, z pięściami zaciśniętemi w gniewie bezsilnym, z piorunami w oczach, z energicznemi przekleństwy na ustach spienionych, ryczał z bolu jak lew spętany.

— Przyszłość winna ci świetny odwet jenerale! — Tankred go jak mógł pocieszał. — Ufaj jej, ufaj szczęściu, które cię dotąd nigdy nie opuściło!

I po raz ostatni, dłonie sobie podawszy w serdecznym uścisku, rozeszli się przyjaciele, kierując się w stronę północno-zachodnią.

XLV.

Na tułactwie.

Tankred opuszczając obóz, pożegnał niemem skinieniem swoich dzielnych ziomków pokonanych. Ich postawa zrezygnowana, ale pełna dumy, wyryła się na wieki w jego pamięci. W dwadzieścia pięć lat później, widząc pierwsze rysunki Charlet'a wykrzyknął:

— Oto moi towarzysze broni z pod Castelbar i Ballynamuck!

Musieli teraz przekroczyć linję szeroko rozciągniętą wojsk angielskich I tu cichość ponura panowała. Zwycięstwo było tak drogo okupione! Przed lordem Roden, szeregi rozstępowały się natychmiast. Raz tylko Tankred i Edward musieli pokazać przepustkę.

Stanąwszy na szczycie góry, zkąd można było wzrokiem objąć całe pole bitwy, wszyscy jakby na znak dany mimowolnie zatrzymali się, oglądając po za siebie. Jeńców prowadzono już ku Dublinowi. Na zachód kawalerja angielska goniła zawzięcie, pierzchających na wsze strony Irlandczyków. Jedna tylko garstka cofając się w porządku dotarła szczęśliwie do lasu i zanim zniknęła w gęstwinie, jeszcze kilku jeźdźców nacierających z siodła wyrzuciła. Edward i Tankred spojrzeli jeden na drugiego, a w ich wzroku czytało się te słowa:

— Jeżeli *Wild-Irish* żyje, jest niezawodnie między nimi!

Mimo oddalenia, na łące zielonej świeciły zdaleka plamy krwi zczerniałej. Od południa przy wejściu w wą-

wóz głęboki, gdzie może do tej chwili Reginald już skonał, zatrzymał się sztab wice-króla.

— Biedny ojciec! — Roden potrząsł głową. — Ah! gdyby moja prośba wczorajsza była wysłuchaną, ileż serc szlachetnych biło by dotąd, ileż mniej byłoby krwi i łez popłynęło! — Po chwili milczenia dodał:—Muszę panów uprzedzić, iż skoro dowiedział się Reginald że możecie jeszcze być uratowani, wysłał sztafetę do kapitana na statku amerykańskim. Będzie mógł zatem odpłynąć natychmiast.

— Szlachetne serce! — westchnął hrabia. — W godzinę śmierci jeszcze o nas pamiętał!

Zaledwie kiedy niekiedy słówko zamieniono. Fitz-Gerald był pogrążony w bolesnej zadumie. Wyrzucał sobie, iż sam jeden ratuje się, gdy kraj cały tonie w ciężkiej niedoli. Gdyby nie pilne czuwanie Tankreda, byłby gotów połączyć się z ziomkami i zginąć z nimi razem

Tankred chociaż do głębi serca przejęty, nie mógł się oprzeć pokusie i myślał co z tego wyniknie. Łucja będzie wdową!... Czemże miało być owo niedopowiedziane życzenie Reginalda i co znaczyło jego ostatnie pożegnanie? Co do lorda Roden, tego serce i umysł były wyłącznie zajęte dogorywającym przyjacielem.

— Panowie myślicie zapewne, iż jesteśmy bardzo oddaleni od Killala — odezwał się wreszcie — tymczasem marsze i kontrmarsze jenerała Humberta, tak odległość zmniejszyły, iż oto mamy już twierdzę przed sobą

Kończył te słowa wskazując przed siebie, gdy z pomiędzy skał i leśnej gęstwiny po nad drogą kilku jeźdźców się wysunęło, w zamiarach najwidoczniej nieprzyjaznych

— Baczność! — Roden zakomenderował. — Pędzić co konie wyskoczą i odwieźć kurki od pistoletów!

— Oh! — Edward zaprotestował — strzelać do tych biedaków?!

Roden zrozumiał ten skrupuł i dodał z rycerską delikatnością:

— A więc strzelimy tylko w powietrze, aby ich przepłoszyć... Naprzód! do stu katów! Przejechać musimy!

Dragoni puścili się cwałem. Tankred dla lepszej pewności, chwycił za cugle konia Edwarda. Przejechali szczęśliwie i nikt nie został zraniony, mimo iż tak z tej jak z tamtej strony kule świsnęły.

Jak gdyby nic nie zaszło, lord Roden kończył zaczętą rozmowę:

— W sam czas mi przypomnieli, że Killala znajduje się dotąd w rękach powstańców. Mają tam nawet rodzaj armji regularnej. Zatoka jednak w naszem posiadaniu, pod zasłoną całej eskadry. Panowie zatem pozwolą, iż tam się wprost udam z moimi dragonami Byłoby nierozwagą puszczać się do miasta, gdzie zechcecie zapewne zatrzymać się przez chwilę.

— Ma się rozumieć! — Edward potwierdził.

— A zatem — głos zadrżał lordowi Roden, jakby nie mógł opanować wzruszenia głębokiego — przysługa za przysługę! Zobaczycie panowie lady Cornwallis. Powiedźcie jej w jakim stanie zostawiliście Reginalda! Mamże wyznać, iż żywię błogą nadzieję zabrania jej z sobą?! Gdyby mąż mógł ją przed śmiercią zobaczyć, uściskać, byłoby to ostatnią jego na ziemi radością!

— Spieszmy więc! — hrabia zawołał.

I znowu puścili się galopem. Tankredowi serce gwałtownie uderzyło, gdy przed nim, na wzgórzu przeciwległem, zarysowały się mury biskupiej rezydencji.

Lord Roden skręcił w bok ku zatoce. Naszych przyjaciół poznano zaraz na wstępie i opadnięto, chcąc się czegoś dowiedzieć. Tankred uznał ze zwykłą przezornością, iż nie można nagą prawdą drażnić umysłów i tak do najwyższego stopnia sfanatyzowanych, aby w dzikiej rozpaczy nie chcieli ich przypadkiem zatrzymać. Wykręcał się więc dyplomatycznie, odpowiadając ni to ni owo, gdy na szczęście nadeszli trzej oficerowie francuzcy, których Humbert zostawił w Killala jako instruktorów. Ci ich wyzwolili z rąk tłumu i do biskupa zaprowadzili. Ten przyjął ich serdecznie jak i za pierwszym razem, tęskniąc szczerze za Francuzami. W rzeczy samej wolontarjusze irlandzcy, niesforni i hałaśliwi, okropnie mu się dali we znaki. Zaledwie potrafił uchować przed ich drapieżnością i łupiestwem, swoją owczarnię, a włącznie własne tak liczne potomstwo, w szczególności: Siedm cudów z Killala.

Tankred teraz dopiero, przy drzwiach zamkniętych, opowiedział w kilku słowach klęskę okropną i jej fatalne następstwa. Oficerowie francuzcy oniemieli z przerażenia; biskup najprzód pomodlił się za umarłych i pokonanych. Następnie wziął górę filozof nad osobą duchowną:

— Było to łatwem do przewidzenia — przemówił. — Osobiście trzymałem i trzymam z królem Jerzym, nam miłościwie panującym; jest atoli napisane w piśmie świętym: — „Gdy pokonasz nieprzyjaciela, nie ciesz się z jego nieszczęścia“. — I zwrócił się do Francuzów z tą samą co Tankred uwagą: — Nie rozgłaszajmy smutnych wieści, póki ci dżentelmeni nie będą bezpieczni.. Gotowi by chcieć ich zatrzymać!

— Statek czeka na nas — Tankred wtrącił.

— Prawda — biskup się zadumał — widziałem przed chwilą z wieży, że podnoszą kotwicę.. ale są bardzo od brzegu daleko. — Teraz zawołał na synów:

— Natty! Arturze! Puśćcie się galopem ku morzu i żeby nasz bacik był gotów, skoro pojawią się ci dwaj dżentelmeni!

Chłopcy nie dali sobie rozkazu powtórzyć. Uszczęśliwieni za chwilę lecieli już konno jak opętani. Ta gotowość, tudzież spojrzenia pełne współczucia, któremi biskup obrzucał raz po raz Edwarda, zdradzały, iż Łucja musiała przed nim wyznać całą prawdę. Wkrótce i ona się zjawiła w towarzystwie dwóch kuzynek szczególniej ukochanych, Ruth i Zuzanny. Z jakim że krzykiem radości rzuciła się bratu na szyję! Z jaką wdzięcznością spoczął jej wzrok na Tankredzie!

— Nie! nie! — tenże żywo zaprotestował. — Nie ja, tylko Reginald, brata ci milady uratował!

Trzeba było udzielić wieści hiobowej i nakłonić Łucję do wyjazdu. Zaledwie zrozumiała jak straszny cios ją czeka zbladła śmiertelnie i łzami się zalała:

— Ach! mój biedny! mój najszlachetniejszy Reginald! — z duszy jej się wyrwało. — Jadę natychmiast!... Może będę mogła przynajmniej zamknąć mu oczy!

— Ale jakże sama pojedziesz? — szepnęła Zuzia.

— Narażasz się na takie niebezpieczeństwo! — Ruth dodała.

— Cóż to znaczy! — Łucja mężnie odrzuciła — skoro mam spełnić święty obowiązek!

— Pięknie moje dziecię! – Biskup w czoło ją pocałował. — Sam będę ci służył za przewodnika!

Nie licząc eskorty lorda Roden — wtrącił hrabia.

Powóz biskupa, zaprzężony tęgą czwórką, podążył ku przystani I Łucja była z nimi, aby patrzeć na odjazd brata Z powrotem miała zabrać biskupa.

— Liczcie na mnie! — rzucił na pożegnanie Edwardowi. – Nie tylko jako bliski krewny, chcę ojca pocieszyć, ale jako osoba duchowna, ułagodzę. Przypomnę mu te słowa z pisma świętego: „Nie bądźcie zawzięci i nie szukajcie zemsty nad nieprzyjacielem. Albowiem tylko miłosierni, nawzajem miłosierdzie otrzymają“

Przejechano miasto galopem, gdzie już tłum burzyć się zaczynał. W połowie drogi spotkano dragonów. Lord Roden wsiadł do powozu. Pat, który był się z nim wybrał, wdrapał się na koziołek. Yacht czekał gotów. Odwiózł zbiegów na pokład okrętu. Łucja sciskając brata namiętnie, wśród łkań szepnęła:

— I to ostatnie pożegnanie!

Tankred całując rączkę sobie podaną, z czułością niewymowną odrzucił:

— Kto wie?... Na każdy sposób powiedzmy sobie mniej smutne: Do zobaczenia.

Był to smętny wieczór jesienny. Słońce właśnie zaszło. Na morzu, jak i na stałym lądzie, głęboka cisza panowała Czasem tylko zaszybowała mewa powietrze przecinając i z piskiem do gniazda wracała. Mgła podnosząc się zwolna, zaciemniała jeszcze bardziej widnokrąg. Zaledwie rysowały się w dali niewyraźne statku amerykańskiego kontury. Skoro wsiedli oczekiwani pasażerowie, okręt korzystając z odpływu puścił się na pełne morze i zniknął wkrótce z oczu patrzącym Łucja zwróciła się do lorda Roden. Spełniwszy powinność siostry, myślała teraz o obowiązku małżonki. Stojąc na pokładzie okrętu, Tankred powtarzał sobie w duchu:

— Ach! wrócę! wrócę na pewno!..Wszak ona wolna teraz... a ja ją tak kocham!

I wzrokiem wytężonym patrzał w dal, gdzie zdawało mu się iż widzi dotąd na brzegu, czarowną postać ubóstwionej! Łucja tymczasem była już daleko, a myśl jej nie o tułaczów teraz się troszczyła, lecz zwracała się tęskna ku umierającemu, pytając, czy jeszcze potrafi na czas zdążyć?

Bóg pobłogosławił jej chęciom pobożnym i szczerym. Przybyła dość wcześnie, aby osłodzić Reginaldowi chwile ostatnie, aby mógł ją przycisnąć do serca tak czułego i wiernego, aby mu własną dłonią zamknęła na sen wieczny powieki!...

(Dokończenie nastąpi.)

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

(Ciąg dalszy).

Zostawszy konzulem a później cesarzem, Napoleon teorję tę na wielką stosuje skalę, starając się, by dzień każdy dostarczył mu nowych do sprawdzenia jej ofiar. Przyszło mu to tem łatwiej, iż świat cały zdawał się rozmyślnie potwierdzać jego zasady. Na pierwsze skinienie, Francuzi biją czołem w pokorze, a padłszy na kolana, nie chcą z nich powstać nawet; maluczcy, chłopi i żołnierze, patrzą nań ze zwierzęcą iście wiernością — wielcy, urzędnicy i dygnitarze, okazują iście bizantyńską służalczość. Można było sądzić, że republikanie spróbują stawić opór; tymczasem wśród nich właśnie znalazł najlepsze narzędzia swej władzy: senatorów, deputowanych, radców stanu, sędziów i administratorów wszelkiego rodzaju. W słowach ich brzmiących górnolotnych frazesach o równości i wolności umiał z rzadkim darem spostrzegawczym odkryć instynkta autokratyczne i chęć rządzenia, wzmocnione jeszcze chciwością złota lub żądzą użycia. Bo wreszcie między delegowanym komitetu ocalenia publicznego a ministrem, między prefektem a podprefektem cesarstwa, różnica nader jest małą; zawsze to ten sam człowiek, w odrębnym tylko ubiorze; kokarda rewolucyjna zamienia się na mundur złotem haftowany — i przekształcenie skończone. A gdy nawet ubogi i prawdomowny purytanin jak Cambon lub Baudot odmówi przywdziania liberji, gdy kilku jakobińskich jenerałów mruczy z niezadowoleniem na akt koronacji, — Napoleon, znający doskonale poziom umysłowy nieprzejednanych, uważa ich poprostu za ograniczonych głupców, opanowanych przez jedną myśl przewodnią Co do inteligentnych liberałów z 1789 r., tych określi zbiorowem i wzgardliwem nieco mianem „indeologów,“ w jego przekonaniu bowiem, rozum ich opiera się na przesądach salonowych lub fantastycznych marzeniach.

„Lafayette jest wieczystym głupcem politycznym“ — objaśnia stanowczo — „ofiarą, wywodzoną w pole przez wszystko i przez wszystkich.“

A jednak u Lafayette'a tego i u kilku innych wykazał się rys krępujący i niemiły. Ci ludzie nietylko umieli złożyć dowody swej bezinteresowności, ale w dodatku troszczyli się ciągle o dobro publiczne, o szacunek ogółu i spokój sumienia, potrafili okazać wierność, poświęcenie, dobrą wiarę, jednem słowem, zasady prawe, czyste i niezłomne. Napoleon wszakże nie wierzy w wyjątki od uświęconej przez siebie reguły, a mówiąc z takimi dziwakami, w oczy odmawia im uznanej szlachetności.

— Generale — zwrócił się raz nagle do Mateusza Dumas'a — czy i pan zaliczałeś się do głupców, wierzących w zasadę wolności?

— Tak, najjaśniejszy panie. Należałem i należę jeszcze do nich.

— Nie przeszkodziło to wszakże panu pracować nad rewolucją przez ambicję, przez chęć wyniesienia się poprostu.

— Nie, wasza cesarska mości. Przekonania moje są dziś takie same, jak w 1790 roku.

— A ja ci powiadam, generale, że się mylisz, żeś sobie nie zdał dobrze sprawy z przyczyn, kierujących tobą. *Nie mogłeś się tak dalece różnić od innych, interes bowiem osobisty nigdy nie milknie.* Patrz, spójrz na Massenę, zdobyta chwała i zaszczyty nie zadawalniają go jeszcze; pragnie na wzór Murat'a i Bernadotte'go zostać koniecznie księciem. Za tytuł ten dałby się zabić jutro, bo taka już natura Francuzów.

Oto ogólna jego o ludziach teorja, system, od którego — według osób, mających z nim ciągłą styczność — nie chciał ani na włos odstąpić.

„Zdanie cesarza zarówno o prostych śmiertelnikach, jak i wybitniejszych członkach społeczeństwa“ — pisze Metternich, — „jednoczy się w pojęciu, które — niestety — nabrało pozorów niezłomnej reguły, dowodzi bowiem nawzruszenie, iż każdy człowiek, powołany na arenę polityczną, lub zajmujący czynne w życiu ogólnem stanowisko, bywa jedynie kierowany poczuciem własnego interesu.“

Bojaźń, chciwość, zmysłowość, miłość własna, współzawodnictwo wreszcie, oto sprężyny, za pomocą których Napo-

leon rządzi ludźmi; samolubne namiętności są — według niego — najlepszym sprzymierzeńcem tych, którzy je na korzyść swą wyzyskać umieją. Albożto zresztą trudno ogłupić człowieka? Wszak natura uczyniła go imaginacyjnym, łatwowiernym, pełnym uniesień i zapału; podbudzaj w nim dumę i próżność, wyrób wysokie o sobie samym i o innych przekonanie, a będziesz mógł uczynić z nim, co ci się tylko podoba. Wprawdzie, żadna z tych pobudek nie zasługuje na najmniejszy szacunek, ale cóż to szkodzi? Osobistości w ten sposób urobione stanowią właśnie naturalną podstawę rządów samowładnych, rodzaj gliny nader podatnej do wyrobu, która tylko czeka na rękę garncarza, aby żądane przez niego przyjąć kształty. Gdyby zaś nawet znalazły się wśród niej części twardsze, dość będzie zetrzeć je i urabiać z bezwzględną siłą, a po krótkiej chwili nie będą się niczem od innych różniły. Stworzywszy sobie podane pojęcia, Napoleon zagłębiał się w nich coraz silnej, upierał się przy teorji powyższej, bez względu na fakt, iż czyny namacalne, widoczne, coraz jej silniej przeczyły. Nic go nie zdołało przekonać; uparta energja Anglików, niezachwiana słodycz papieża, jawne powstanie Hiszpanji, głuchy bunt Niemiec, opór sumienia katolików, odstępstwo Francji nawet, wszystko to pozostało bez wpływu na poglądy, wywołane przez potrzebę wewnętrzną; widzi on człowieka takim, jakim go mieć potrzebuje

V.

Przechodząc stopniowo rysy charakteru byłego cesarza, doszliśmy nareszcie do jego namiętności głównej, do przepaści moralnej, wykopanej w jego sercu przez instynkt wrodzony, przez wychowanie, teorję i wolę własną; do przepaści, mającej pochłonąć cały gmach wielkości, tak kunsztownie i sztucznie wzniesionej; mówię tu — rzecz prosta — o ambicji Napoleona. Jest ona głównym motorem jego duszy, czynnikiem woli stałym, a tak nieodłącznym, iż on sam w końcu traci wszelką o nim świadomość. „Ambicja“ — mówił raz do Roederer'a — „zupełnie mi jest obcą. Jeżeli zaś posiadam ją“ — poprawił się ze zwykłą przenikliwością — „to jest ona tak nieodłączną od mego charakteru, tak wrodzoną, tak nierozdzielną z całem mojem istnieniem, iż nie czuję jej nawet, bo przecież nie czuję krwi, krążącej w mych żyłach, lub powietrza, którem oddycham“.

Dalej nieco, porównywa ją głębiej jeszcze, do tego uczucia mimowolnego, dzikiego, nieprzezwyciężonego, które wstrząsa duszą, od najwyższego jej szczytu aż do korzenia istoty ludzkiej — do dreszczu potężnego, któremu ulega zarówno pierwiastek zwierzęcy, jak moralny, do gwałtownego i strasznego porywu, noszącego miano miłości.

„Jedną znam tylko namiętność — mówi do tegoż samego Roederer'a — jedną kochankę, a jest nią Francja! Nie opuszcza mnie ona ani na chwilę, nie zdradza nigdy, oddaje mi krew swoją i swoje skarby. Gdy potrzebuję pół miljona ludzi, nie waha się rzucić mi ich na ofiarę.“

Niech jednak nikt nie ośmiela się stanąć między nim a tą wymarzoną kochanką; niech Józef nie próbuje upomnieć się, z okazji koronacji, o drugorzędne chociażby miejsce w nowem cesarstwie, niech się nie powołuje na swe prawa braterskie. „Jest-to chęć ugodzenia mnie w najczulsze miejsce“. — woła rozgniewany — „nic też nie jest w stanie zatrzeć słów jego w mej pamięci“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zadanie piramidalne.

(ułożył p. Stan. Faliszewski).

*

* * * *

* * * * *

* * * * * *

* * * * * * *

* * * * * * * *

* * * * * * * * *

* * * * * * * * * *

* * * * * * * * * * *

* * * * * * * * * * * *

1) głoska, 2) nazwa skóry pewnego zwierza, 3) Imię męzkie zdrobniałe, 4) miasto starożytne w gub. płockiej, 5) poeta pols i, 6) imię męzkie w 5-tym przypadku, 7) autorka „Poems“, 8) ostatni król judzki zmarły w Babilonie, 9) miasto nad rzeką Jenisej, 10) źdródło rzeki Donu i Szati w gub. Tulskiej

Chcesz piramidę rozwiązać bez troski
W miejsce gwiazdeczek włóż stosowne głoski
A wnet wytrysną wśród fal łożyska
Dwoch nam dobrze znanych mężów nazwiska.
Dla tem łatwiejszego jeszcze rozwiązania
Przytoczę wam tutaj ot te cztery zdan a.
Byś pozbierał głoski czytelniku miły,
Z góry do dołu, a od przodu wstecz
Dostaniesz dwóch mężów, których wsławiły
Pierwszego pióro, zaś drugiego miecz.

Łamigłówka.

ak — al — ci — ci — do — dyk — dyw — du — e — est — ga — ir — ko — kow — kuck — la — le — łak — ma — na — ni — niów — niż — nus — ro — se — s i — tum — u — wer — wer — wi — wil.

1. zasłużony pedagog polski. 2. przykrycie na konia 3 gatunek wina. 4. nieszczęśliwi. 5. miejsce w Galicji. 6 moneta. 7. człowiek-wilk 8. imię litewskie. 9. powieściopisarz. 10. miasto 11. kapłani żydowscy. 12. władzca Mirmidonów. 13. staro italskie bóstwo.

Początkowe i końcowe litery powyższych wyrazów tworzą imię i nazwisko poety polskiego i tytuł jednego z jego utworów.

☛ Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **powieść J. Rogosza „Pokuta“.**

Rozwiązanie kwadratu magicznego.

S	e	s	o	s	t	r	y	s
C	**y**	r	o	p	e	d	y	a
m	a	**r**	y	n	a	r	k	a
P	e	l	**o**	p	o	n	e	z
K	a	r	a	**k**	a	l	l	a
a	u	t	o	n	**o**	m	i	a
S	e	m	i	r	a	**m**	i	s
K	o	s	z	e	n	i	**l**	a
A	u	s	t	r	a	l	i	**a**

Syrokomla.

Rozwiązanie łamigłówki.

Jucht — Akacya — Kark — Anatomia — Pop — Rosół — Anarch a Cheiwiec — Analityka.

„Jaka praca — taka płaca.“

Rozwiązanie szarady „PANORAMA“.

Rozwiązanie kwadratu magicznego, łamigłówki i szarady nadesłali: Marta Kłobukowska z Starego-Biorunia (na górnym Szlązku), Robert Han z Bochni, Seweryn Kisielewski ze Szczucina, Wanda Oświecimska z Jauer (Niederschlesien), Z. Kusztelan z Poznania, Marya Rembacz z Wieliczki, Stefania Eizenberg z Żurowa, Magdalena Frenklówna ze Lwowa, Aleksander Godel słuchacz praw z Przemyśla, Edward Bayer z Horodenki, Marya Bernacka z Krakowa, Stanisław Matwij z Drohobycza, Jan Bieroński z Wieliczki, Emilia N emczewska z Kozaczówki, Józef Świstara z Kolbuszowy. W. Elterlein z Górki. K. Nits h z Krakowa. Władysław Frank z Dmytrowa

Rozwiązanie szarady nadesłali. Stefania Grabowska z Wadowic, Stanisław Faliszewski z Zaleszczyk.

Po zarządzonem losowaniu nagrodę otrzymała p. **Stef. Eisenberg.**

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca: Józef Rogosz

Zarządzca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak.